

Europa Liechtensteinów

Tysiąca

18 sierpnia 2018

Wydarzenia związane z niedawno rozgrywającym się w Hiszpanii wystąpieniem zwolenników niepodległości Katalonii miały potencjał stać się kanwą dla rozważań nad poprawnym ułożeniem stosunków na linii władza centralna – region. Szansa została jednak zmarnowana, gdyż zamiast refleksji nad problemem rząd zdecydował się zastosować rozwiązanie siłowe. Determinacja gabinetu nie dziwi. Wszelkie ruchy secesjonistyczne, godząc w integralność terytorialną państw, w granicach których działają, uderza w same podstawy ich samych oraz całej organizacji politycznej kontynentu. Dyskurs publiczny zdominowany jest przez dwie wzajemnie wykluczające się wizje – Europy ojczyzn (państw narodowych) lub jej zespolenia w jedno sfederalizowane państwo. Nie są one jednak jedynymi – a liberałowie, zwykle kojarzeni z drugą przedstawioną opcją, wcale nie są na nią skazani. Ciekawą, a zarazem kontrowersyjną, ideą spójną z celami klasycznego liberalizmu, jest koncepcja tak zwanej Europy Tysiąca Liechtensteinów (która nie musi być zresztą sprzeczna z ideą ponadpaństwowej, na przykład paneuropejskiej, unii). Polega ona na propagowaniu jak najdalej idącej secesji i w konsekwencji stworzeniu jak największej liczby niezależnych i konkurujących ze sobą jednostek politycznych. Co może wydawać się paradoksalne, istnieją podstawy, by przypuszczać, że to właśnie taka dezintegracja polityczna mogłaby prowadzić do najpełniejszej integracji społeczno-gospodarczej oraz pokojowej współpracy narodów.

Powód, dla którego model ten cieszy się popularnością wśród osób o poglądach libertariańskich czy wolnorynkowych, to przekonanie, że dezintegracja państw narodowych i przekształcenie ich w szereg niewielkich państweczek opartych na wspólnotach lokalnych sprzyjać będzie procesowi radykalnej

liberalizacji gospodarki, cięciom podatków i reformom wolnohandlowym. Rozumowanie stojące za tym wnioskiem jest następujące: małe państwa silniej odczuwają bodźce ukierunkowujące je w stronę wolnego rynku, ponieważ są bardziej narażone na utratę kapitału i produktywnych obywateli. Po pierwsze, im są one mniejsze, tym łatwiej je opuścić. Jeśli wystarczy przejechać kilkanaście czy kilkadziesiąt kilometrów, aby uciec przed opresyjną polityką rządu, to koszt finansowy przeprowadzki zostaje znacząco zredukowany. Co więcej, emigracja nie wiąże się z koniecznością przeniesienia się na tereny kulturowo i językowo obce, nie wymusza również znacznego ograniczenia kontaktów ze środowiskiem, w którym żyło się dotychczas. W związku z tym małe państwo musi prowadzić politykę prorynkową, ponieważ wysokie obciążenia fiskalne czy regulacyjne doprowadziłyby do szybkiego odpływu ludzi produktywnych (a więc jego źródła dochodów) oraz kapitału na rzecz konkurencji, tj. dziesiątek państw granicznych. Po drugie, im mniejsze państwo, tym mniej surowców naturalnych znajduje się w jego granicach, co wymusza na nim otwarcie się na handel międzynarodowy. Jest to potęgowane również przez stosunkowo niewielką liczbę obywateli, co z kolei przekłada się na konieczność zaawansowanej integracji z międzynarodowym (a właściwie międzypaństwowym) systemem podziału pracy, ponieważ niemożliwe dla nich jest samodzielne odtworzenie ogólnoswiatowej specjalizacji zawodowej na tak małą skalę. Państwo niewielkie liczebnie nie mogłoby bowiem nawet starać się choćby imitować podział pracy gospodarek rozwiniętych z uwagi na mnogość specyficznych branż w nich występujących. Można więc w miarę bezpiecznie założyć, że Europa Tysiąca Liechtensteinów byłaby Europą wolnego rynku i wolnego handlu[1].

Argumenty mające podważyć zasadność tej idei dotyczą najczęściej kwestii bezpieczeństwa. Przede wszystkim Europa Tysiąca Liechtensteinów miałaby być Europą „wojny wszystkich ze wszystkimi”, gdzie zarzewiem krwawych walk byłyby konflikty ogniskujące się wokół sporów o polityczną jurysdykcję nad

miejscami o istotnym znaczeniu gospodarczym z uwagi na ich potencjał surowcowy czy przemysłowy. Wszyscy milcząco bowiem uznajemy, że poziom życia obywateli państwa zależy w dużej mierze od geograficznego rozłożenia bogactw naturalnych czy usytuowania zamieszkałych regionów względem szlaków handlowych. Należy zastanowić się więc, czy wychodząc z założenia, iż efektem dezintegracji politycznej we współczesnej Europie byłyby przedstawione wyżej skutki (liberalizacja rynków i handlu), afiliacja obszarów na przykład bogatych surowcowo miałaby jakiekolwiek przełożenie na dobrobyt poszczególnych Europejczyków. Odpowiedź oczywiście brzmi: nie. Obywatel niepodległego Wolnego Miasta Poznań mógłby zaopatrywać się w węgiel wydobywany w niepodległym Księstwie Górnego Śląska na dokładnie takich samych zasadach, na jakich zaopatruje się w rogale marcińskie. Mógłby kupować śląski węgiel tak łatwo, jak kupowałby go rodowity Ślązak mieszkający niedaleko kopalni – wyjąwszy spod uwagi wyłącznie niewielki kłopot transportu wynikły z odległości geograficznej od miejsca wydobycia (czego w żaden sposób nie ułatwia polityczna unifikacja). Działoby się tak dlatego, że handel śląsko-poznański, z powodów przedstawionych wyżej, najprawdopodobniej nie byłby obwarowany żadnymi administracyjnymi barierami. Wielość form politycznych rozsianych na terytorium Europy sprzyjałaby gospodarczej współorganizacji – cała Europa tworzyłaby jedną strefę ekonomiczną. Podział graniczny byłby więc zupełnie nieistotny dla poziomów życia, a zatem poznański obywatel nie miałby żadnego interesu w inkorporacji śląskich kopalń do swojego państwa. „Poznańskość” czy „śląskość” tych placówek interesowałaby go najprawdopodobniej tyle, co nic. Jak zaznaczyliśmy, jedynym kłopotem byłaby konieczność zorganizowania transportu, wynikła nie z podziału politycznego, a fizycznej odległości, której żadna aneksja nie zredukuje. Najlepiej problem ten podsumował Ludwig von Mises, pisząc, że w świecie wolnego rynku dla finansowej pomyślności ludzi po prostu „nie ma różnicy, gdzie nakreślone są granice. Nikt nie ma żadnego interesu materialnego w powiększaniu

terytorium państwa, w którym mieszka; nikt nie traci, jeśli część terytorium tego państwa odseparowuje się od niego. Nie ma również żadnego znaczenia, czy wszystkie terytoria państwa są ze sobą bezpośrednio połączone geograficznie, czy oddzielone od siebie ziemiami należącymi do innego państwa. Dostęp państwa do morza nie ma żadnego gospodarczego znaczenia”[2].

Zasadność założeń teoretycznych, na których oparto powyższy scenariusz, można częściowo wywieść nawet z doświadczeń powojennej Europy. Jeśli Europa tysiąca Liechtensteinów byłaby ciągłą wojną wszystkich ze wszystkimi, to dlaczego Europa 50 państw narodowych również nie jest wojną wszystkich ze wszystkimi? Możliwych stron konfliktu nadal jest aż nadto. Parafrazując słynny wywód Murraya Rothbarda[3], należy zapytać, dlaczego III RP i RFN, pozostające wobec siebie w ciągłym stanie anarchii (tj. w stanie, w którym nie istnieje ponad nimi wspólny rząd, który mógłby podyktować im i siłowo wyegzekwować swoją wolę), nie toczą ze sobą wojny o śląskie kopalnie? Dla nikogo tezą kontrowersyjną nie jest twierdzenie, że powojenny Pax Europaea jest rezultatem integracji europejskiej. Wbrew wyobrażeniom wielu, nie chodzi jednak o integrację polityczną. Unia Europejska nie jest jeszcze państwem, nie przysługuje jej atrybut nazywany suwerennością – uczestnictwo w jest strukturach jest dobrowolne nawet po akcesie, a ona nie posiada sił zbrojnych. Tamą dla wojny jest więc integracja innego typu: społeczno-gospodarcza. W systemie wolnego przepływu ludzi, towarów i kapitału wojna zakończona nawet zwycięstwem może nie być warta ceny, którą należałoby zapłacić. Obcemu rządowi nie opłaca się po prostu niszczyć kraju, który jest rynkiem zbytu dla jego producentów. Nie opłaca się mu niszczyć kraju, w którym jego najwięksi płatnicy podatków inwestują i budują fabryki z nadzieją zwielokrotnienia zysków. Trudniej mu byłoby znaleźć społeczne przyzwolenie na wojnę w kraju, gdzie zwykły obywatel często jeździ na urlop i nierzadko ma rodzinę. Relacja jest oczywiście również odwrotna. Nie opłaca się takiemu rządowi

niszczyć kraju, dla którego samemu jest się rynkiem zbytu; z którego bez przeszkód natury prawnej importuje się produkty czy półprodukty potrzebne krajowym konsumentom i producentom. Zakłócając ten proces, uderza się we własne, krajowe siły wytwórcze i dobrobyt swoich obywateli. Hasło przypisywane Bastiatowi jest jak najbardziej prawdziwe: „jeśli towary nie będą przekraczać granic, zrobią to armie”. Współpraca gospodarcza czyni po prostu perspektywę konfliktu niepożądaną. Jest to integracja, na której zyskują wszystkie strony (tak samo jak wspólny ogólnopolski rynek nie uderza w biedniejszą Polskę wschodnią na rzecz bogatszej Polski zachodniej). Skoro więc integracja gospodarcza tworzy sieć zależności i uwikłań międzypaństwowych, które redukują możliwe korzyści z prowadzenia działań wojennych, to Europa Tysiąca Liechtensteinów, gdzie mikro-państwa (lub państwa zagrożone secesją) odczuwałyby nieporównywalnie bardziej palącą konieczność uczestnictwa w systemie międzynarodowego podziału pracy i specjalizacji, byłaby miejscem jak najbardziej pokojowym.

Drugi argument przeciwko Europie Tysiąca Liechtensteinów dotyczy zagrożenia z zewnątrz, ze strony dużych, scentralizowanych potęg, których łupem mogłyby szybko paść europejskie mikro-państwa w przypadku realizacji takiego scenariusza. Zarzut ten jest z pewnością mocniejszy niż poprzedni, ale w żadnym wypadku nie przesądza sprawy. Przede wszystkim należy podkreślić, że w koncepcji Europy Tysiąca Liechtensteinów nie chodzi o to, by na siłę dzielić obecne państwa, ale o to, by dać ludziom tworzącym poszczególne wspólnoty lokalne realny wybór. Samo Księstwo Liechtenstein jest państwem, gdzie prawo do secesji każdej z jedenastu gmin jest zabezpieczone konstytucyjnie[4]. Niemniej mieszkańcy żadnej z nich, przywiązani do domu panującego i zadowoleni z polityki państwa, nie są zbyt skorzy do wykorzystania tej prerogatywy. Możliwość nie oznacza konieczności. W Europie nadal mogłyby więc istnieć państwa wielkością zbliżone do obecnych. Sam jednak fakt umieszczenia zapisów zapewniających

prawo do secesji w konstytucjach tych już istniejących oznaczałoby najprawdopodobniej wielki zwrot w kierunku wolnego rynku, ponieważ rząd centralny byłby poddany ogromnej odśrodkowej presji w konkurencji o podatnika. Każdy bowiem region obecnie podlegający jego jurysdykcji, którego mieszkańcy nie chcieliby finansować wydatków socjalnych czy biurokracji egzekwującej regulacje rządu centralnego, mógłby po prostu ogłosić niepodległość i sam stać się wyłącznym inkasentem wpływów podatkowych, tym samym odcinając rząd centralny od części źródeł finansowania.

Ponadto rozbitcie polityczne nie musi być bezpośrednio związane ze słabością militarną. Jest rzeczą dość oczywistą, że małe państwa zdawałyby sobie sprawę z konieczności wspólnego koordynowania swojej polityki obronnej na poziomie ponadpaństwowym, podobnie jak w obliczu zagrożenia ze strony ZSRS zdawały sobie z tego sprawę państwa bloku zachodniego (a wcześniej na przykład 13 kolonii brytyjskich, następnie w pełni suwerennych stanów, które współdziałając ze sobą w ramach unii zdołały się oprzeć potędze najsilniejszego państwa imperialnego). Czy jest powód, by zakładać, że organizacje w swej naturze zbliżone bardziej do NATO niż do UE gorzej spełniałyby się w roli obronnej? Przyjawszy za fakt założenie, że prawo do secesji wiązałoby się ze wzrostem wolności gospodarczej, można konkludować, iż państwa je respektujące byłyby bardzo zamożne i mogłyby konkurować z resztą świata, przeznaczając na zbrojenia w ramach struktur sojuszniczych znacznie mniejszy procent PKB niż duże, scentralizowane organizmy, a przy tym mieć nad nimi przewagę. Można się również domyślać, że z uwagi na skalę integracji gospodarczej uczestnictwem w systemie sojuszu zainteresowane byłyby nawet państwa bezpośrednio niezagrożone atakiem z zewnątrz, ponieważ wyeliminowanie choćby części ogniw ze skomplikowanego łańcucha zależności powstałego w ramach postępującego podziału pracy i produkcji boleśnie wpływałoby na ich własną sytuację gospodarczą (często mówi się, jak politykę Anglii kształtowały interesy gospodarcze, warto więc wspomnieć, jak np. w XVII

wieku Anglia, państwo oddalone i politycznie niezwiązane z Rzeczpospolitą, lobbowała m.in. na dworze osmańskim o pokój między oboma państwami, by nie zakłócać wymiany towarowej między swoimi i polskimi kupcami, posuwając się nawet do gróźb militarnych)[5].

Pozostaje jednak pytanie o to, komu lub jakim konkretnie wspólnotom należałoby nadać prawo do samostanowienia[6]. Co jeśli w hipotetycznie niepodległej Katalonii prohiszpańska Barcelona domagać się będzie łączności politycznej z Królestwem Hiszpanii, a nie Republiką Katalońską? Czy jest to problem nierozwiązywalny? Na pewno da się minimalizować liczbę niezadowolonych poprzez przyjęcie rozwiązania proponowanego przez Misesa: nadać prawo samostanowienia każdemu terytorium, które jest wystarczająco duże, by być osobną jednostką administracyjną. To wyłącznie kryterium technicznej wykonalności miałoby być jedyną barierą[7] – nawet jeśli oznaczałoby to tworzenie enklaw eksterytorialnych, które przecież, jak już pokazaliśmy, w świecie wolnego przepływu usług, towarów, kapitału i ludności, nie miałyby żadnego negatywnego wpływu na dobrostan obywateli jakiegokolwiek państwa[8]. Wydawać może się to podejściem egzotycznym, jednak powinniśmy zdawać sobie sprawę, że nasza percepcja może być skrzywiona przez kształt obecnych granic. Wystarczy natomiast rzut oka na polityczną mapę Europy z XVIII czy nawet pierwszej połowy XIX wieku, w szczególności na pas wyznaczony przez Niderlandy, Niemcy i Włochy, by dostrzec, że nie jest to abstrakcja.

Polityczna mapa Niemiec wieków XV-XVIII stanowić może najlepszą graficzną ilustrację tego, jak teoretycznie mogłaby wyglądać Europa Tysiąca Liechtensteinów. I choć ówczesna sytuacja tego kraju z pewnością nie była idyllicznym spełnieniem marzeń o obszarze wolnego handlu i wolnego rynku, nienękanego przez okrucieństwa wojny, to, jak zauważył prof. Witold Kwaśnicki, nie jest prawdopodobnie zbiegiem okoliczności, że obecnie najbogatsze regiony Unii Europejskiej

pokrywają się z najbardziej zdecentralizowanymi obszarami Europy w wiekach ubiegłych. Oczywiście pozostaje nadal w mocy pytanie, dlaczego u schyłku średniowiecza i w epoce nowożytnej decentralizacja nie doprowadziła tam do efektów opisywanych na początku tego artykułu, lecz odpowiedź nie wydaje się być trudna. Realizacja tak pomyślnego scenariusza oparta jest na założeniu, że bodźcem dla prowadzenia prorynkowej polityki przez zaangażowane państwa jest ryzyko odpływu kapitału i emigracja, które decentralizacja czyni niezwykle łatwymi. W klasowym społeczeństwie agrarnym takie ryzyko było jednak minimalne pomimo rozbicia politycznego. Większość społeczeństwa żyła w kondycji poddaństwa i przywiązania do ziemi oraz innych ograniczeń wolności osobistej, a więc jakakolwiek migracja tych rzesz ludności poza ucieczką czy nielicznymi wyjątkami przewidzianymi przez prawo była niemożliwa. Poddaństwo na niektórych terenach Niemiec zniesione było dopiero w pierwszych dekadach XIX wieku. Generalnie nie było również wówczas prywatnych inwestycji zagranicznych. Jeszcze w 1817 roku wybitny ekonomista David Ricardo przewidywał, że na takie przedsięwzięcia nie będzie chętnych; stały się one istotnym elementem życia gospodarczego dopiero kilka dekad później[9]. Dziś na szczęście żaden właściciel ziemski czy kapitalista nie jest w stanie nikogo siłą u siebie zatrzymać, istnieją też zasoby oszczędności zgromadzone na potrzeby inwestycji, których przyszłe miejsce ulokowania jest istotnym elementem rachunku ekonomicznego.

Rozumowanie stojące za poparciem dla idei Europy Tysiąca Liechtensteinów można podsumować w sposób następujący: ekonomiczna konieczność wymusiłaby dzisiaj na małych i niepodległych państwach (lub większych nieustannie zagrożonych możliwością odśrodkowej dekonstrukcji) liberalizację oraz społeczno-gospodarczą integrację na niespotykaną dotychczas skalę. Ta z kolei doprowadziłaby do powszechnego i szybkiego wzrostu zamożności, uczyniłaby wojnę niepożądaną oraz stałaby się bodźcem dla wspólnej i ścisłej ochrony całości strefy wspólnego rynku przed atakiem z zewnątrz w ramach struktur

sojuszniczych podobnych do NATO. Jak twierdzą zwolennicy tej idei: byłaby to co prawda Europa wielu granic, ale otwartych dla pokojowej współpracy jak nigdy dotąd. Sukces takiego projektu podważałby sens zarówno idei nacjonalistycznych, jak i etatystycznych.

Autor: Łukasz Nieroda

Źródło: Mises.pl

PRZYPISY

[1] Szersze omówienie w: Hans-Hermann Hoppe, Demokracja – bóg, który zawiódł, Fijorr Publishing, Warszawa 2006, ss. 161-175.

[2] Ludwig von Mises, The Omnipotent Government, Ludwig von Mises Institute, 2010, s. 9, tłum. własne.

[3] Murray Rothbard, Interwencjonizm, czyli władza a rynek, Fijorr Publishing, Warszawa 2009, s. 8.

[4] Artykuł 4, punkt 2 Konstytucji Księstwa Liechtenstein.

[5] E. Mierzwa, Polska a Anglia w XVII wieku, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2003, s. 16.

[6] Pytanie to obecne jest w nowożytnej refleksji liberalnej co najmniej od czasów Herberta Spencera.

[7] Ludwig von Mises, Liberalism in the classical tradition, Foundation for Economic Education 1985, ss. 109-110.

[8] Na to zagadnienie w kontekście kryzysu hiszpańskiego zwrócił niedawno uwagę Przemysław Hankus.

[9] Ludwig von Mises, „Economic Policy: Thoughts for Today and Tomorrow”, Ludwig von Mises Institute 2007, ss. 78-79.